Damian Nenow: Dziewięć lat z życia.

Na festiwalu w Cannes 2018 owacja na stojąco, w *The Hollywood Reporter* zachwyty, że to „oszałamiające dzieło o rzadko spotykanej bezpośredniości i sile”. Na podstawie książki Ryszarda Kapuścińskiego „Jeszcze dzień życia”, Polak – Damian Nenow i Hiszpan – Raúl de la Fuente stworzyli animację komputerową w technologii 3D. Pomysł wydawał się karkołomny: w jednym filmie połączyć animację z dokumentem i wystylizować go na komiks.



Damian Nenow, fot. materiały prasowe.

Mariola Wiktor: Pracując nad filmem o wojnie domowej w Angoli według książki Ryszarda Kapuścińskiego, zmierzył się pan z jego legendą. Dokonał pan jakichś odkryć?

Damian Nenov: W czasie researchu dokopaliśmy się do tego, jaka była formuła pisania Kapuścińskiego, co było esencją – skupienie się nie na wielkich wydarzeniach, ale na pojedynczym człowieku w nich uczestniczącym. I to wydało nam się dzisiaj bardzo aktualne. Mój stosunek do Kapuścińskiego, wcześniej neutralny, zmienił się w podziw i dumę z tego, że jeden z najwybitniejszych pisarzy XX wieku to Polak. Oczywiście już wcześniej w szkole dowiedziałem się o nim, o jego podróżach i książkach, ale wtedy jeszcze ich przekaz nie całkiem do mnie docierał. Choć pamiętam, że gdy przeczytałem *Jeszcze dzień*

życia, to utkwiły mi w pamięci obrazy. Na przykład ten z opisem Luandy, stolicy Angoli, jako drewnianego miasta zalewającego ulice…

Dopowiem, że w tak plastyczny sposób Kapuściński opisał uciekających z Luandy Portugalczyków, którzy cały swój dobytek pakowali w wielkie drewniane skrzynie. A powodem ich ewakuacji było odzyskanie niepodległości przez Angolę w 1975 roku, która aż do tego czasu pozostawała kolonią portugalską.

Tak, Kapuściński opisuje czas niepokojów i krwawej wojny domowej tuż przed uzyskaniem niepodległości. Mam taką „przypadłość", że z książek, filmów, wydarzeń życiowych wyłapuję tematy, sytuacje, które mnie twórczo stymulują. Z książki Ryszarda Kapuścińskiego zapamiętałem sceny, liryczne opisy, drewniane miasto. Później dostrzegłem potencjał, który uwielbiam w animacji, surrealistyczne deformacje świata i gry z rzeczywistością.

Skąd u pana zainteresowanie animacją? Powie pan, że od przedszkola?

(śmiech) Tak było. Rysowałem, malowałem, potem chodziłem do liceum plastycznego w Bydgoszczy, moim rodzinnym mieście. Jako młody chłopak byłem zainteresowany grafiką, ale nie

miałem w domu komputera, bo nie było nas na niego stać. Dość wcześnie odkryłem animację komputerową, a potem zobaczyłem *Katedrę* Tomasza Bagińskiego. Wtedy mnie olśniło. Zrozumiałem, że film, który ma szansę na Oscara, może powstać w domu i można go zrobić samemu. Dotarło do mnie, że właściwie wszystko, co potrzebne, by to osiągnąć, jest w naszej głowie. Poszedłem do Szkoły Filmowej w Łodzi, robiłem tam wiele etiud. Ale w owym czasie w Filmówce nie było odpowiedniej specjalizacji. Szkoła była kuźnią reżyserów, a nie realizatorów animacji. Zdobyłem jednak podstawy i wiedzę o filmie, a grafiki komputerowej nauczyłem się sam.

Pana wcześniejszy film krótkometrażowy *Ścieżki nienawiści*, o walce na śmierć i życie pilotów dwóch myśliwców, był blisko Oscara i zdobył wiele festiwalowych nagród na całym świecie. Co to daje?

Taka festiwalowa podróż filmu sprawia, że jego twórca staje się rozpoznawalny. Nigdy się nie spodziewałem, że tak wielu ludzi obejrzy *Ścieżki nienawiści*. Dużo projektów spływa do mnie właśnie dlatego, że zrobiłem ten animowany short. Dzięki temu obiegowi również Raúl zobaczył teaser mojego filmu.

Raúl de la Fuente jest współreżyserem *Jeszcze jeden dzień życia*. To on wpadł na pomysł adaptacji książki. W jakich okolicznościach się poznaliście?

Raúl znał książki Kapuścińskiego, był nimi zafascynowany. W czasie swojej podróży po Afryce odwiedzał miejsca opisane w *Jeszcze dzień życia*. Być może już wtedy dojrzewał w nim pomysł nakręcenia filmu dokumentalnego. Zobaczył jednak zwiastun *Ścieżek nienawiści* i spodobał mu się sposób, w jaki zrealizowałem ten film, wówczas pionierski: stylizowany, a jednocześnie poważny, nie kreskówkowy, z dużym potencjałem na połączenie z dokumentem. Spotkaliśmy się w studiu Platige Image i tak się zaczęło. Początkowo marzył nam się pełnometrażowy fabularny film wojenny, ale jednocześnie w tył głowy uparcie pukała myśl, że to niemożliwe, że tego nie da się sfinansować. Cały projekt zajął nam wiele lat. To największa koprodukcja europejska, jeśli chodzi o film animowany. Wspaniałe było to, że każdy z naszych pięciu koproducentów znał Kapuścińskiego.

Czy takie dziennikarstwo, jakie uprawiał Ryszard Kapuściński, współcześnie, w dobie mediów elektronicznych, ma jeszcze sens?

Absolutnie tak! Myślę, że dziś brakuje nam jego podejścia, czujemy się przez niego osieroceni. Ale to też kwestia tego, jak działa ludzki umysł, do jakiego stopnia nie ogarnia tego morza zalewających nas informacji. Gdy dociera do nas krzyk tłumów, bardzo trudno usłyszeć i zrozumieć pojedynczego człowieka, ujrzeć całokształt przez pryzmat jednostki. Taki zaś był klucz

Kapuścińskiego do poznania świata. Nie przypadkiem mówił o sobie „tłumacz kultur”. Wydarzenia w Angoli w 1975 roku go zmieniły, sprawiły, że porzucił dziennikarstwo na rzecz literatury.



Kadr z filmu „Jeszcze dzień życia”, fot. materiały prasowe.

W Angoli przestały mu już wystarczać PAP-owskie suche depesze.

To moment zwrotny, w którym reporter przekształca się w powieściopisarza. I ta zmiana nas zainteresowała, zmobilizowała do zrobienia filmu. Kapuściński napisał kiedyś, że pojedynczy człowiek jest całym wszechświatem, który można w kółko odkrywać, który ma nieskończoną ilość sposobów ekspresji. Tłum

natomiast jest ograniczony do krzyku, do protestu, do barykady. Dlatego o człowieku można napisać powieść, a o tłumie nigdy.

Trzeba powiedzieć, że w 1975 roku zawód reportera wyglądał zupełnie inaczej niż dzisiaj.

Tak, choćby dlatego, że nie było internetu. Świat był też bardziej czarno-biały. Kiedy miało się paszport kraju socjalistycznego, nie można było pozwolić sobie na obiektywizm i wielowymiarowość, a mnóstwo miejsc pozostawało kompletnie niedostępnych. Kapuściński przekraczał zaś wszystkie bariery i ograniczenia. Poza ciekawością motywowały go jeszcze inne czynniki. Dzięki podróżom mierzył się ze swoimi demonami, z własnym, nie tylko Conradowskim, „jądrem ciemności", obrazkami, jakie sam jako dziecko zapamiętał z wojny. Był od niej na swój sposób uzależniony. Jeśli gdzieś na świecie pojawiał się konflikt zbrojny, Kapuściński musiał tam być.

Nie miał pan poczucia, że adaptując literaturę faktu środkami animacji, porywa się pan na coś szalonego?

Wręcz przeciwnie. Sama formuła pisania Kapuścińskiego zmobilizowała nas do hybrydowego formatu. Kapuściński łączy poezję, magiczny realizm z faktami. Wchodzi do głowy pojedynczego człowieka i przez pryzmat jego emocji opisuje sytuację w kraju, a nawet los całego kontynentu. My, tak jak on,

zderzamy fakty z kreacją. Animacja może być zarówno realistyczna, jak i fantastyczna, surrealistyczna. W moim odczuciu animacja to poezja, która uchwyci to, czego nie zobaczy kamera, a co jest na przykład w naszych myślach, fantazjach, lękach.

To, o czym pan mówi, wpisuje się w pojęcie *confusão*, które jest kluczem do zrozumienia książki Kapuścińskiego. Wytłumaczmy, o co chodzi.

Chodzi o świat, o rzeczywistość, która wymyka się spod kontroli, w której nie ma reguł, granice są płynne, znikają ludzie, przedmioty, a wszędzie czają się śmierć i obezwładniający chaos. Takie sytuacje towarzyszą dziś wojnom w Syrii, na Bliskim Wschodzie, na Ukrainie. *Confusão* rodzi się w głowach ludzi, po czym ogarnia cały naród, kontynent. Szybko się okazuje, że od samego bałaganu gorszy jest nadmiar pomysłów na sprzątanie. Każdy ruch pogrąża. *Confusão* nie da się zwalczyć, ono zawsze wróci. Aby przetrwać, trzeba się skupić, czasem na pojedynczym człowieku. Poznać, zrozumieć, zaufać i, jak w soczewce, odnaleźć sens.

W potocznym wyobrażeniu animacja kojarzy się z fikcją, ale przez zderzenie z dokumentem ta animacja się uprawdopodabnia, staje się rzeczywistością.

Ja to tak odbieram. Chcielibyśmy, by animacja była jeszcze bardziej surrealistyczna przez swoją formę, żeby nie siliła się na udawanie narracji prawdziwej. Od tego była część aktorska, z autentycznymi ludźmi, z faktami. Paradoksalnie, im bardziej warstwa animowana różniła się od dokumentalnej, tym lepiej się uzupełniały. Okazało się, że zderzenie tak różnych światów tworzy opowieść stymulującą wyobraźnię i emocje. Wyobraziłem sobie sklejkę montażową sytuującą się gdzieś między oniryczną rzeczywistością, scenami realistycznymi i prawdziwym człowiekiem, który tam stoi i tam był. Siłą takiego obrazka jest właśnie hybrydowość, połączenie animacji i dokumentu.

A dlaczego zdecydował się pan na komiksową stylizację? Chodziło o to, by dotrzeć do młodych ludzi?

Owszem, chcieliśmy, by film znalazł widownię wśród młodzieży, która fascynuje się kulturą komiksową. Ale kolejna ważna sprawa to specyfika samej animacji i stylu, który wypracowałem jeszcze przy *Ścieżkach nienawiści*. Jego wyjątkowość polega na tym, że nie jest to tradycyjna kreskówka. Inny jest sposób kadrowania, montażu, praca kamery. To animacja bardzo realistyczna, przekonująca. Autentyczna jest anatomia postaci, nie ma tutaj przesadzonych ekspresji. Ten styl animacji jest przystępny dla dorosłego widza, który od poważnego kina wojennego oczekuje raczej poważnych kreacji aktorskich niż infantylnych kreskówek. Aspekt stylizacji zauważył Raúl przy

moich *Ścieżkach nienawiści*. Film animowany to dla większości widzów głównie kreskówka, czyli Pixar albo Disney… Idzie się na to z dziećmi i zawsze jest wesoło. A u nas nie ma takich radosnych nastrojów, bo zderzamy się z bardzo poważnymi tematami wojennymi. *Jeszcze dzień życia* opowiada o prawdziwych zdarzeniach, autentycznych ludziach.



Kadr z filmu „Jeszcze dzień życia", fot. materiały prasowe.

Walc z Baszirem Ariego Folmana był dla pana i Raúla inspiracją? Myślę choćby o scenie śmierci Carlotty…

Tak, ale nie do końca. To nigdy nie była bezpośrednia inspiracja. W *Walcu z Baszirem* pokochałem wszystkie sceny surrealistyczne i głównie je zapamiętałem. Tak samo było z książką *Jeszcze dzień*

życia. I z *Niekończącą się opowieścią*, moim ulubionym filmem z dzieciństwa. Kiedy pisałem w scenariuszu scenę śmierci Carlotty, to nie miałem przed oczyma *Walca z Baszirem*, choć oczywiście są podobieństwa.

Jak się podzieliliście pracą z Raúlem de la Fuente? On był od dokumentu, pan od animacji?

Ten podział wydaje się oczywisty, bo takie mamy korzenie. I w realizacji tak właśnie było. Ale najtrudniejszą częścią pracy okazało się tworzenie całej historii, jej wymyślanie, pisanie. To zabrało nam ponad pięć lat i tutaj dzieliliśmy się pracą po równo. Sesje scenariuszowe odbywały się w Bilbao, w Pampelunie albo pod Warszawą. Potem były dokumentacje w Angoli. Bardzo ważne, bo dzięki zdjęciom i przeprowadzonym tam rozmowom z autentycznymi bohaterami wojny wiedzieliśmy, czego możemy się spodziewać i na czym się oprzeć. W projekt zaangażowanych było około 200 osób, a łącznie z zapleczem logistycznym niemal 500.

Gigantyczne przedsięwzięcie! Czy biorąc pod uwagę tak ogromny wysiłek, sądzi pan, że filmy hybrydowe mają przyszłość?

W takim portretowaniu rzeczywistości tkwi ogromny potencjał. Nie tylko artystyczny, ale i komercyjny. Nasz złożony świat aż

kipi od różnych spojrzeń, perspektyw, więc takie łączenie rozmaitych technik i konwencji ma głęboki sens.

Trzy pana filmy – *Ścieżki nienawiści*, *Miasto ruin* i *Jeszcze dzień życia* – poruszają temat wojny. To pana obsesja? Czy może po prostu wojna dobrze się „sprzedaje" i ciekawie wygląda w animacji?

Wojna mnie fascynuje, bo pokazuje inną podszewkę świata, demony i obsesje ludzkie, daje inny wymiar postrzegania rzeczywistości. To życie w sytuacjach ekstremalnych, pod wpływem których wychodzą z nas emocje, o jakie się nie posądzaliśmy, mroczności, bestie, potwory. Element *confusão*, o który pani pytała, to część historii pokazanej w naszym filmie. Stan chaosu, ale i brak zrozumienia, a z tego przecież rodzi się nienawiść, zniszczenie. Źródłem jest strach i niewiedza.

(…)

Zwiastun:

https://www.youtube.com/watch?v=hqQKcs2CVDQ

Wywiad ukazał się na stronie Harpers Bazaar w 2018 r.

https://www.harpersbazaar.pl/

Francja 1994, 1995, 1999 i 2009. Część II.



Wnętrze Panteonu w Paryżu.

Zygmunt Wojski *(Wrocław)*

W okresie Wielkanocy w roku 1995 pojechałem do mojej przyjaciółki Jeannine do Cuers koło **Tulonu** i stamtąd urządziłem sobie trzy wycieczki: do **Opactwa Le Thoronet**, **do Aix-en-Provence** i na **Korsykę**. Pamiętam doskonale Opactwo Le Thoronet, górę Świętej Wiktorii i fontanny Aix-en-Provence,

Corte, Bonifacio, Bastię i Calvi na Korsyce. Niestety, pogoda na tej „Pięknej Wyspie”, jak ją nazywają Francuzi, spłatała mi figla: było dość zimno. Przeziębiłem się i straciłem sporo czasu leżąc w łóżku w towarzystwie stadka kotów u mojej pięknej gospodyni o nazwisku Colonna, bardzo popularnym na Korsyce.

Dwukrotnie, w 1994 i 1999, byłem zaproszony na wykłady na Uniwersytecie w stolicy Owernii, **Clermont-Ferrand**, dużym mieście w obszernej dolinie u stóp wulkanu Puy-de-Dôme (1654 m wysokości). Nad miastem góruje czarna sylwetka Katedry Matki Boskiej Wniebowzięcia, z XIII w., z dwiema strzelistymi wieżami i jedną niższą. Katedra jest w stylu gotyku północnego. Wewnątrz, w pasażu południowym, zachowane freski, a w jednej z kaplic także okno z kamiennymi muszarabiami.



Pomnik Wercyngetoryksa w Clermont-Ferrand (Owernia).

W mieście, na placu Jaude, monumentalny pomnik na koniu, z uniesioną szpadą, urodzonego właśnie w Owernii galijskiego wodza, Wercyngetoryksa, który walczył z wojskiem Juliusza Cezara. Klasyczną budowlą romańską jest bazylika Matki Boskiej z Portu (*Notre-Dame du-Port*), z XII-XIII w., harmonijna, proporcjonalna, z prezbiterium ozdobionym na zewnątrz delikatną mozaiką. Zbudowana jest z jasnej arkozy. Rzeźby na kapitelach kolumn przedstawiają sceny biblijne lub pochodzące z *Psychomachii* Prudencjusza.

Któregoś dnia w czasie pobytu w 1994 roku moja koleżanka romanistka z Wrocławia Hanka Karaszewska (była wówczas lektorką języka polskiego na tamtejszym Uniwersytecie) i ja zostaliśmy zaproszeni na całodniową wycieczkę szlakiem kościołów romańskich przez panią prof. Evelyne Hernández. Ruszyliśmy z **Clermont-Ferrand** na południe, w kierunku **Orcival**, gdzie w dolinie kościół Matki Boskiej z XII w. Charakterystyczne są cztery absydy: jedna wyższa i trzy jednakowej wysokości. Wewnątrz, romańska polichromowana statuetka Matki Boskiej z Dzieciątkiem, podobno wyrzeźbiona przez Świętego Łukasza. Matka Boska ma nieproporcjonalnie duże dłonie, a Dzieciątko twarz wyrośniętego młodzieńca.



Bazylika Matki Boskiej w Orcivalu.

Obiad jedliśmy w restauracji z widokiem na zamarznięte jezioro wśród gór. Czy to było jezioro Chambon, Aydat czy des Servières, w tej chwili trudno mi odpowiedzieć, ale prawdopodobnie des Servières. W każdym razie potem zwiedziliśmy romański kościół Św. Nektara (*église de Saint–Nectaire*) też z XII w. Stoi w dolinie, u stóp zalesionych wzgórz. Przepięknych głowic jest tam sto trzy i wszystkie przedstawiają jakieś sceny: walkę aniołów z demonami, kuszenie Chrystusa, grę osła na lirze, ujeżdżanie kozła przez człowieka… I tu polichromowana romańska figurka Matki Boskiej z

Dzieciątkiem. Przedstawiona jest na tronie i uosabia Tron Wiecznej Mądrości (*Sedes Sapientiae*).

Na koniec romański kościół Świętego Saturnina w miejscowości o tej samej nazwie, z XII w. Zbudowany z miejscowej jasnej arkozy i lawy robi wrażenie polichromowanego. Kapitele kolumn wyrzeźbione w lawie. Obok kościoła w **Orcival** jest jedynym w Owernii kościołem, który uszedł cało podczas Rewolucji Francuskiej i zachował oryginalną ośmiokątną dzwonnicę. Uchodzi za przykład prostoty architektonicznej. Byłem też wtedy w **Vichy**, znanym kurorcie na północ od **Clermont-Ferrand**. W parku jest elegancki Pałac pod Kopułami i niski, parterowy Pałac Kongresów.



Dom Zdrojowy w Vichy. Owernia.

W **Paryżu** zamieszkałem w hotelu PAN-u na ulicy Lauriston, niedaleko Placu Gwiazdy. Zwiedziłem wówczas bardzo dokładnie Muzeum D'Orsay z ogromną ilością obrazów impresjonistów. Monet, Manet, Cézanne, Renoir, Degas, Courbet, Gauguin... Wspaniała kolekcja! Oprócz tego, Panteon w Dzielnicy Łacińskiej. Ta wizyta miała na celu głównie obejrzenie grobowca jedynej kobiety tam pochowanej, czyli Marii Skłodowskiej-Curie. Aliści zarówno jej prochy, jak i jej męża, Piotra Curie, sprowadzono do Panteonu dopiero ponad rok później, 20 kwietnia 1995 roku. Obejrzałem wtedy grobowce takich francuskich osobistości jak Wolter, Rousseau, André Malraux, Victor Hugo, Alexandre Dumas, Émile Zola, Jean Jaurès. Pod

kopułą Panteonu, wśród kolumn ją otaczających, punkt widokowy na Paryż, skąd doskonale widoczne główne budowle miasta.



Kościół Matki Boskiej w Saint-Saturnin. Owernia.



Notre-Dame de Saint-Saturnin. Owernia.

W 1999 roku w czasie pobytu w **Clermont-Ferrand** pojechałem pociągiem do Issoire w towarzystwie młodej Kubanki. Jest tam dość przysadzisty romański kościół Świętego Stremoniusza (*Saint-Austremoine*), z XII w. Wewnątrz pomalowany w 1859 roku na jaskrawy czerwony kolor. Kapitele w większości nawiązują do Pasji Chrystusa, ale są też sceny mityczne, pasterskie. Pod chórem wspaniała krypta. Witraże ukazują sceny z życia Świętego Stremoniusza.

W drodze powrotnej zatrzymałem się w Paryżu u mojego kolegi z warszawskiej romanistyki, Kazia Piekarca w dzielnicy Issy-les-Moulineaux. Było mi tam bardzo dobrze. Gospodarze – Kazio i Jego żona Anula – okazali się wyjątkowo gościnni. Zwiedziłem wówczas w Grand Palais wystawę poświęconą przyjaźni van Gogha z doktorem Gachet, portrety tego doktora i inne dzieła impresjonistów. Po raz pierwszy obejrzałem dokładnie dom Victora Hugo na Placu Wogezów, pamiątki po nim, liczne wydania jego dzieł. Była to niesłychanie ciekawa wizyta. Na wyspie Świętego Ludwika spotkałem się z kolegą ze studiów w Warszawie, Krzysztofem Jeżewskim, który oprowadził mnie po muzeum Mickiewicza i Chopina w Bibliotece Polskiej. Tyle razy byłem przedtem w Paryżu i nigdy nie widziałem tych zbiorów. Poznałem wówczas uroczy zakątek Wyspy Świętego Ludwika: Skwer rzeźbiarza Barye' ego, na wschodnim jej krańcu.

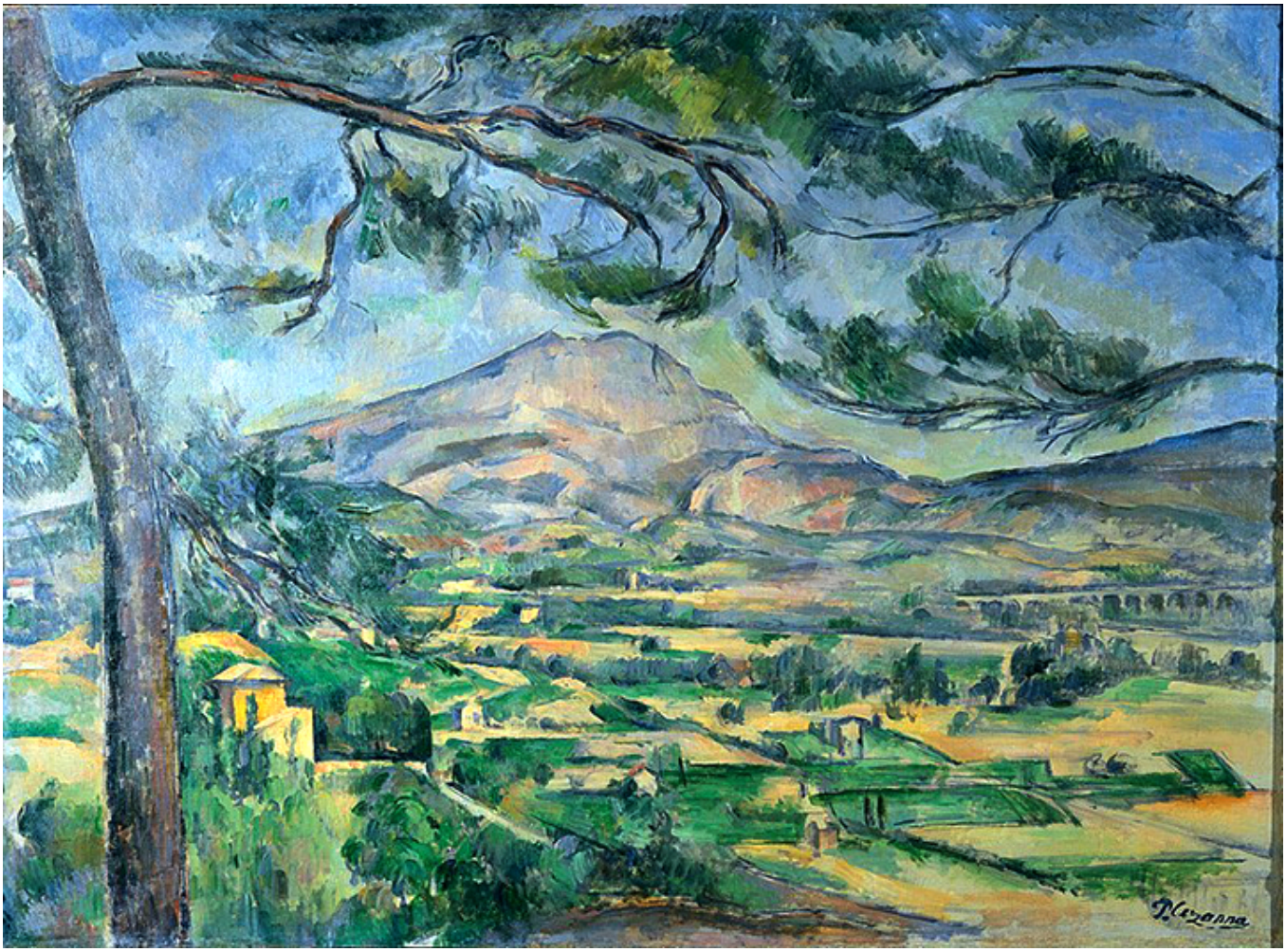


Dom Wiktora Hugo na Placu Wogezów w Paryżu.

Odwiedziłem także Instytut Świata Arabskiego (*Institut du Monde Arabe*), przy Placu Mohammeda V. Powstał w 1987 roku. W muzeum zgromadzono ogromną ilość rekwizytów charakterystycznych dla krajów arabskich, także zabytki (mozaiki tunezyjskie, stroje, naczynia, kafelki). W ciągu kilku dni zobaczyłem sporo ciekawych rzeczy.

Ostatnią podróż do Francji odbyłem we wrześniu 2009 roku. Była

to wycieczka po najbardziej malowniczych, często mało znanych, miasteczkach francuskich. Trasa wiodła wielkim łukiem od południowego wschodu Francji przez Prowansję, Oksytanię, Nową Akwitanię, Dolinę Loary, Normandię, Paryż, Szampanię, do Alzacji. Spróbuję wymienić tylko te miasteczka, które zrobiły na mnie największe wrażenie, a więc najpiękniejsze okazały się dwa: **Moustiers Sainte-Marie** w Prowansji i **Saint-Circ-Lapopie** w Oksytanii, oba położone w bardzo malowniczej okolicy. Pierwsze u stóp gigantycznych skał, a drugie na zboczu skalistego kanionu rzeki Lot.



Paul Cézanne – Góra Sainte-Victoire z wielką sosną.

30 km na zachód od **Saint-Circ-Lapopie** leży miasto **Cahors** z niezwykłym mostem obronnym zwanym Valentré z XIV wieku. Na moście na rzece Lot wznoszą się trzy potężne wysokie wieże obronne. Gdy chodzi o mury obronne, największe wrażenie robi najstarszy francuski port śródziemnomorski **Aigues-Mortes**, co znaczy po polsku Martwe Wody. Miasteczko położone jest na mokradłach delty Rodanu i otaczają je ze wszystkich stron doskonale zachowane mury obronne. Góruje nad nimi Wieża Konstancji. To stąd król Francji Ludwik IX zwany Świętym wypływał w XIII wieku na siódmą i ósmą wyprawę krzyżową.

Na wzmiankę zasługuje zwiedzanie w Oksytanii jaskini Pech Merle, pokrytej ciekawymi malowidłami koni, bizonów i mamutów. Także formacje skalne i kolorystyka skał są bardzo ciekawe. Wystąpiłem w tej jaskini jako tłumacz, ale postanowiłem przy tym dać popis moich zdolności aktorskich, zarówno gdy chodzi o modulację głosu, jak i żywą gestykulację. Udało mi się to w stu procentach. Grupa nie ukrywała swego zadowolenia, słychać było głośne śmiechy, a jedna z pań z grupy francuskiej była tak wzruszona tym widowiskiem, że na koniec dziękowała mi wylewnie za ten popis aktorski. Grupa była tak zadowolona, że wymogła na pilocie, aby zaprosił mnie tego dnia na kolację złożoną z osławionej kaczki zakonserwowanej we własnym tłuszczu, z kartoflami po sarlacku: *confit de canard aux pommes de terre sarladaises !!!*



Matka Boska z Saint-Saturnin. Owernia.

Fotografie autora oraz z serwisów Flickr i Pinterest.

Zygmunt Wojski, „Od Łupi do Parany i Amazonki”, s. 165. Impresje polskiego iberysty z podróży naukowych do Ameryki Łacińskiej, Hiszpanii i Portugalii, dotyczące historii i kultury odwiedzanych krajów. Ukazują się w drugi czwartek miesiąca.

Wydawców zainteresowanych publikacją książki prosimy o kontakt z redakcją magazynu „Culture Avenue”.

Galeria



Bazylika Matki Boskiej z Portu w Clermont Ferrand (Owernia).



Cytadela w Bastii na Korsyce.



Cytadela w Calvi na Korsyce.



Góra Sainte-Victoire (Święta Wiktoria) malowana wielokrotnie przez Cézanne´a.



Pałacyk w Aix-en-Provence.



Port i Stare Miasto w Bonifacio na Korsyce.



Wirydarz Klasztoru św. Zbawiciela w Aix-en-Provence.

Ewy Dorynek-Scheer

„Obrazy Takie w Klimacie”



Ewa Dorynek-Scheer, Nocne niebo twojego dzieciństwa.

Katarzyna Szrodt *(Montreal)*

Ewa wyjechała z Polski do Kanady z mężem Andrzejem Maciejewskim, znanym dziś w Kanadzie fotografikiem, w 1985

roku. W Polsce studiowała psychologię i filozofię. Podczas studiów, na letnim plenerze fotograficznym po raz pierwszy eksperymentowała z *ice paintings*, malując na lodzie i fotografując efekt przenikania się lodu i farb. Małżeństwo nie wytrzymało trudów emigracji. Już w drugim związku, Ewa Scheer powróciła do przerwanych pasji artystycznych. W latach 1987-1992 studiowała *fashion design* na Ryerson Polytechnical Institute uzyskując licencjat ze sztuki użytkowej oraz na University of Regina w Saskatchewan, w 1991 roku, zdobywając Master of Fine Arts. Z upływem lat artystka rozwijała technikę *ice paintings* świadomie zmierzając w stronę malarstwa ekologicznego. Prace jej są barwnym, niepowtarzalnym dziełem malarskim stworzonym jednocześnie przez artystkę i naturę. W 2016 roku dużym powodzeniem cieszyła się wystawa Ewy Scheer w Kingston/Ontario, w Gallery Studio 22 – *ice paintings* powiększone do dużych skali prezentowały się imponująco. Idąc dalej w stronę ścisłej współpracy z naturą, artystka przygotowała serię wykładów poglądowych dotyczących relacji między sztuką, człowiekiem, środowiskiem i przemysłem, które od 2016 roku wygłasza gościnnie. Ewa jest laureatką konkursu „Saving Face" w Living Arts Centre/Mississauga 2011; jest finalistką konkursu Kingston Prize – Canada National Portrait Competition 2011 i 2019; Spirit of the Land w 2011 roku i Space w 2012 roku w MVS Gallery/Brockville,Kanada. W 2016 roku artystka była na rezydencji w L'Atelier sur Seine w Hericy we Francji.



Artystka na tle swoich prac.

Jak wielu artystów polskich tworzących poza granicami, Ewa Dorynek-Scheer chciała zaprezentować swój dorobek w kraju rodzinnym, gdyż konfrontacja z rodzimym środowiskiem artystycznym daje artyście szczególną satysfakcję i dodatkowe bodźce, których często brak w kraju osiedlenia. Wystawa „Obrazy Takie w Klimacie” zorganizowana została w domu kultury PROM w dzielnicy Saska Kępa w Warszawie. Artystka zaprezentowała serię miniaturowych, abstrakcyjnych obrazów

malowanych barwnikami spożywczymi i nietoksycznymi środkami koloryzującymi na płytach lodu. W trakcie tworzenia czas trwania tych miniaturowych obrazów zależy wyłącznie od warunków pogodowych – temperatury, wilgotności, siły wiatru. Temperatura otoczenia i właściwości lodu są ważnym czynnikiem procesu twórczego – stąd artystka nazywa swoje prace „klimatycznymi meteografami". Ostatnim etapem tworzenia jest Diasec- proces technologiczny, w którym zespala się fotografie ze szkłem akrylowym imitującym grube tafle lodu.



Ewa Dorynek-Scheer, Rembrandt Nebula.

Meteografy Ewy Dorynek-Scheer dotyczą momentu, przypadku i zaskoczenia, jakie sprawia artystce natura. Efekty zaskakują pomysłowością. Niektóre przypominają przestrzeń kosmiczną, inne są jak światy podwodne lub wnętrze organizmu. Jest to niekończąca się inwencja form i kształtów. Jednak drugą stroną tego ekologicznego procesu twórczego jest świadomość, że chociaż używane materiały są nietoksyczne, to malowanie na lodzie jest wprowadzeniem do lasu ingerencji człowieka i

uprzemysłowionej kultury ludzkiej. Obrazy „narzucają się" naturze, podobnie jak ludzka cywilizacja „narzuca się" niszcząc środowisko naturalne. Czy istnieje wobec tego relacja idealna, nieinwazyjna, między twórcą i naturą? Jest to pytanie pojawiające się w trakcie oglądania wystawy. Paradoks – nawet współpracując tak blisko z naturą, artysta przekształca środowisko i ingeruje weń. Obrazy lodowe mówią o naturze, ale proces produkcji wykorzystujący metal, plastik, lakiery – naturę niszczy. Kolejny paradoks, który uświadamia nam jak groźne procesy destrukcyjne wyzwolone zostały przez naszą cywilizację. Czy sama świadomość tego faktu ocali nas przed ekologiczną zagładą? Przyszłość przyniesie odpowiedź na pytanie. W przestronnej sali wystawowej domu kultury, na białych ścianach, jak na śniegu, prace prezentowały się ciekawie, a tajemniczy świat lodu i kolorów – będący owocną współpracą artystki i natury, zachwycał nieskończoną wielością form.



Ewa Dorynek-Scheer, Głową w dół; Organ współczucia.

Nieprawdopodobne



Florian Śmieja z żoną Zofią z Poniatowskich, fot. arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

> ŻONA
>
> Poślubiłem najwłaściwszą osobę,
>
> wielki ze mnie szczęściarz, że mnie zechciała.
>
> W szczytowym osiągnięciu mego życia

okazała się wspaniałą partnerką

i czułą matką czworga zdrowych dzieci.

Dożyłem kopy lat pod jej urokiem

więc się Budrysom wcale nie dziwuję.

ZAJĘCIA

Żona należała do wędrowniczek

i to harcerstwo już w niej pozostało.

Ćwiczy na sali trzy razy w tygodniu

i często chodzi na długie wędrówki.

Ja wtedy pozostając w domu, piszę,

na wiersze mienię kinetyczne ruchy.

Nasza współpraca ma cechy wzorowej.

Nie zawadzamy sobie w dyscyplinach:

Stale z małżonką chodzę na spacery,

ona niekiedy czyta to, co piszę.

POCHWAŁA LODÓWKI

Żona wyjeżdża na wczasy więc muszę

zaprzyjaźnić się intymniej z lodówką.

Ona mi będzie żywicielką, moją

spolegliwą chlebodawczynią, zawsze

gotową karmić głodomora z głębi

swych zimnych półek, z hojnego spichlerza

życiodajnych fruktów, bochnów i serów

nabiału, wędlin, warzyw mrożonych.

Z doświadczenia chwalę dobroć lodówki,

istnej przechowalni cierpliwych mężów.

NIEPRAWDOPODOBNE

Te wręcz nieprawdopodobne sześćdziesiąt lat

wspólnie przeżytych wymagało szczęścia

i roztropnej tolerancji obu stron

przebaczania i akceptacji błędów

wyrozumiałości opartej mocno

na przyjętych zasadach pojmowanych

jako trwałe fundamenty pożycia

godnego i błogosławionego.

Kopa lat to nagroda za współbrzmienie

w społeczeństwie pogrążonym w rozdźwięku.

NIEZAWODNA

Dotąd to było „do widzenia, serwus

do następnego razu, see you later”.

Teraz już „żegnaj” kojarzy się smutniej.

Nie będzie już powtórek i nawrotów.

Pewne transakcje kończą się na amen

staje u kresu, co było pisane.

Już nie pomogą tu manipulacje:

siła wyższa poradzi sobie z knuciem

nawet w najlepszej intencji. Stanie się

to co stosowne i co oczywiste.

> Bo śmierć jak dotąd bywa niezawodna.



Heroizm życiowych

wyborów.

Wspomnienie o Nelli Turzańskiej-Szymborskiej.



Założyciele Fundacji: Władysław Grzymała-Turzański i Nelli Turzańska.

Edward Zyman *(Toronto)*

W niedzielę wielkanocną 8 kwietnia 2012 w Toronto Western Hospital zmarła Nelli Turzańska-Szymborska, twórczyni jednej z najważniejszych instytucji wspierających kulturę polską na obczyźnie – Fundacji Turzańskich. Była wśród Polonii kanadyjskiej postacią wyjątkową. Kimś, kto swoim codziennym, zwróconym ku innym działaniem, pisał historię polskiej diaspory, nie tylko na północnoamerykańskim kontynencie. Gdy zamknął się ostatni rozdział Jej doczesnej, pełnej tragicznych doświadczeń i imponujących dokonań egzystencji, dojrzeliśmy wyraźnie, że

osiągnęła w życiu wszystko to, co prawy, wierny swoim przekonaniom, otwarty na sprawy wspólnoty człowiek, osiągnąć może. Od wczesnej młodości po wiek dojrzały potwierdzała swoją wielkość ducha, przywiązanie do wartości podstawowych, szlachetność i odwagę. Takie imponderabilia jak patriotyzm, wolność, niepodległość, uczciwość, bezinteresowna praca dla innych były dla niej obowiązującym imperatywem moralnym. Gdy w ich obronie trzeba było ryzykować najwyższą ceną, czyniła to bez wahania – w czasie wojny i okupacji, podczas powstania warszawskiego, a także w okresie ponurej rzeczywistości Polski komunistycznej lat czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku.

Narracja wspomnieniowa narzuca pewne utrwalone konwencje. W tym przypadku rodzi to istotny problem, bowiem życie pani Nelli Turzańskiej, z domu Barańskiej, było w swej wyjątkowej dramaturgii zaprzeczeniem wszelkich konwencji. Urodziła się w dniu 23 marca 1917 roku w Kursku, dokąd został oddelegowany jej pracujący w kolejnictwie ojciec. Fakt, że po rewolucji bolszewickiej jej rodzinie udało się bezpiecznie przedostać do Polski, był cudownym zrządzeniem losu. Po latach w jednym z wywiadów stwierdziła:

> Byłam tak wymizerowanym niemowlęciem, że nie rokowano mi szans na przeżycie (…). Gdy jednak wreszcie znaleźliśmy

> się na polskiej ziemi, nieoczekiwanie wydobrzałam, wzmocniłam się, i wyrosłam.

Dzieciństwo wraz z rodzicami i sześciorgiem rodzeństwa spędziła w Błoniu pod Warszawą, gdzie ukończyła szkołę podstawową. Był to najszczęśliwszy okres w jej życiu. Jako dziecko uwielbiała zabawy w ogrodzie i czytanie książek. Jej ukochanymi lekturami były *Ania z Zielonego Wzgórza* oraz *W pustyni i w puszczy*. Nie przypuszczała, że kiedyś przyjdzie jej mieszkać w ojczyźnie Ani Shirley, a od bohaterki powieści Sienkiewicza przejmie imię, którym zastąpi metrykalną Franciszkę, pierwotnie na czas bierzmowania, a później – na całe życie.

Wzrastała w atmosferze romantycznego patriotyzmu. Jak wielu przedstawicieli pokolenia niepodległej Polski, miała silnie rozwinięte poczucie obywatelskiej odpowiedzialności. Od dwunastego roku życia należała do harcerstwa. Kiedy była uczennicą gimnazjum, ukończyła – jako jedyna dziewczyna w stuosobowej grupie – kurs spadochronowy. W listopadzie 1939 roku, zaprzysiężona jako „Viola”, została członkinią Związku Walki Zbrojnej. Przeszła kurs przysposobienia, po którym zajmowała się kolportażem prasy podziemnej, roznosiła rozkazy, a nierzadko także broń. W okresie tym pracowała na wydziale radiologii Szpitala Ujazdowskiego, zajmując się rannymi oficerami polskimi. Wynajdywała tysiące sposobów, by odwlec

moment ich deportacji do obozów jenieckich. Podczas powstania warszawskiego przybrała pseudonim „Prawdzic” i została łączniczką w batalionie Wojskowej Straży Ochrony Powstania, dowodzonym przez por. Tadeusza Okolskiego, „Dzika”. Jako łączniczka i sanitariuszka uczestniczyła w walkach na Starym Mieście. Gdy Starówka padła, razem ze swoim oddziałem przedostała się kanałami do Śródmieścia. Po kapitulacji, idąc do niewoli, zbiegła z konwoju pod Ożarowem.

Po wojnie osiedliła się w Łodzi, podejmując pracę w tamtejszym Inspektoracie Szkolnym. Równocześnie rozpoczęła studia na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Łódzkiego. W 1951 roku nawiązała kontakt z grupą osób działających w podziemnej organizacji Polski Front Ojczyźniany. Aresztowana w lutym 1952 r., z ośmioletnim wyrokiem trafiła do więzienia. Trzy i pół roku spędziła na Montelupich w Krakowie, w Grudziądzu i w Centralnym Więzieniu dla Kobiet w Fordonie, gdzie w pierwszych latach po zakończeniu wojny kierowano polskie patriotki po wyrokach za działalność polityczną: członkinie ZWZ, AK, WiN, NSZ, wychowane w duchu polskości studentki z Krakowa i Warszawy, przeciwstawiające się stalinowskiemu terrorowi.



Warszawa 1958 r., ostatnie chwile w Polsce. Nelli Turzańska wsiada do taksówki by udać się na lotnisko.

Zwolniona na mocy amnestii, nie potrafiąc odnaleźć się w warunkach komunistycznej Polski, podjęła decyzję o emigracji, którą umożliwiło małżeństwo (*per procura*) z obywatelem kanadyjskim, kuzynem jej zmarłego narzeczonego. W maju 1958 roku opuściła Polskę. Jej nową ojczyzną stała się Kanada, ale związki z krajem rodzinnym nie zostały zerwane. Wręcz przeciwnie – uległy pogłębieniu, stały się duchowo bardziej intensywne. Fizyczne oddalenie od Polski utwierdziło w niej przeświadczenie, że kraj to nie system polityczny, rządzący, narzucone przez nich restrykcje, lecz przede wszystkim bogata, fascynująca kultura: literatura, muzyka, malarstwo, piękno

ojczystego krajobrazu, wiara ojców, ponadtysiącletnia historia.

Poza krajem Nelli Turzańska-Szymborska spędziła 54 lata. Nigdy jednak nie był to pobyt poza polską kulturą i tradycją, poza wartościami, które decydują o naszej narodowej i historycznej tożsamości. Podczas swej emigracyjnej wędrówki, trudnej i wymagającej wielu wyrzeczeń, swoją bezinteresownością, niezwykłą empatią i życzliwością zyskała wielu oddanych przyjaciół oraz głębokie uznanie i szacunek środowiska.



Warszawa 1994 r. Nelli Turzańska-Szymborska ze Stanisławem Kopfem.

Fakt ten zasługuje na podkreślenie tym bardziej, że los stawiał przed nią heroiczne wyzwania. Trzykrotnie budowała swoje emigracyjne życie od podstaw. Najpierw, gdy w 1973 roku, po śmierci pierwszego męża Stanisława Krysiaka, została sama z trzynastoletnim Tomkiem, ukochanym synem, który urodził się z zespołem Downa. Później, gdy po kilkunastu latach harmonijnego pożycia z Władysławem Grzymałą-Turzańskim, w 1986 została ponownie wdową i wreszcie, gdy w 1994 roku wyszła po raz trzeci szczęśliwie za mąż wiążąc się ze

Zbigniewem Szymborskim, nie tylko idealnym mężem, ale także współtwórcą jej charytatywnych przedsięwzięć.

Choć oddalona w sensie fizycznym od Polski, potrafiła, realizując ideę por. Władysława Grzymały-Turzańskiego, przekazać polskiej kulturze wartość wyjątkową w postaci Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich, instytucji, która pokazuje jak wiele dobrego uczynić może szlachetność, dobra wola i wyobraźnia jednego człowieka umiejącego zjednać dla pięknych i wartościowych dla wspólnoty celów grupę ludzi szczerze tym celom oddanych.



Kilkunastu laureatów Fundacji: Od lewej: Janusz Krasiński, Andrzej Busza, Kamila i Zofia Drotlef w towarzystwie Marka Kusiby, Irena Harasimowicz, Jerzy Kołacz, Maciej Jaśkiewicz, Adam Makowicz, Marek Chodakiewicz, Krzysztof Zarzecki, Jarosław Abramow-Newerly, Ryszard Kapuściński, Berenika Zakrzewska. Ad van Rijsewijk, Michael Newnham, Norman Davies.

Powstała w 1988 roku Fundacja była rozpoznawalnym elementem kulturalnego dorobku polskiej diaspory[1]. Zrodzona przed blisko ćwierćwieczem idea wspierania wolnej, niezależnej od politycznych nacisków kultury polskiej, promowania wybitnych dzieł wzbogacających nasze narodowe dziedzictwo i utrwalających je w obszarze kultury światowej, z inspiracji Nelli Turzańskiej-Szymborskiej i przy jej ogromnym wkładzie pracy

stała się budzącym najwyższy szacunek znakiem rozpoznawczym polskiego Toronto.



Logo Fundacji

Jako „juror pierwszej godziny" i jedyny w tej chwili członek-założyciel Fundacji pamiętam dobrze dzień (20 lutego 1985), w którym pani Nelli złożyła wizytę w redakcji „Głosu Polskiego" z jej ówczesnym mężem Władysławem Grzymałą-Turzańskim, współtwórcą Stowarzyszenia Polskich Kombatantów i jego pierwszym wiceprzewodniczącym. Z anonsującego spotkanie telefonu wynikało, że państwo Turzańscy pragną porozmawiać o sprawie dla nich wyjątkowo ważnej. Byłem przekonany, że chodzi o zainicjowaną przeze mnie kampanię prasową w obronie zagrożonej egzystencji wychodzącego w Londynie „Orła Białego". Pełniąc funkcję redaktora naczelnego „Głosu" zaledwie od kilku miesięcy, byłem dumny że na mój artykuł (*Co się stało z*

Orłem Białym?, „Głos Polski” 1985 nr 6) zareagował jeden z najbardziej zasłużonych działaczy polskiej diaspory w Kanadzie. I rzeczywiście, początkowo rozmowa dotyczyła losów londyńskiego periodyku, tworzącego ważny rozdział polskiej niezależnej myśli politycznej. Por. Turzański zwrócił się za pośrednictwem prowadzonego przeze mnie tygodnika z apelem do kanadyjskiej Polonii o przyjście z pomocą redakcji „Orła Białego” i, by zachęcić przyszłych ofiarodawców, przekazał pierwszą dotację. Okazało się jednak, że nie był to jedyny cel tej szczególnie ważnej, co zrozumiałem niebawem, także dla mnie osobiście wizyty. W pewnym momencie pani Nelli zapytała, co sądzę o ich wspólnym projekcie powołania fundacji, której celem byłoby nagradzanie polskich twórców niezależnych. Mimo krótkiego pobytu poza krajem znałem dobrze deficyt podobnych instytucji w życiu emigracyjnym. Przedstawiony mi pomysł przyjąłem więc entuzjastycznie, zachęcając państwa Turzańskich do jak najszybszej jego realizacji, a na kolejne pytanie, czy przyjmę zaproszenie do pracy w radzie dyrektorów przyszłej fundacji, odpowiedziałem, z nieukrywaną satysfakcją, twierdząco. Prośbę pani Nelli przyjąłem jako wyjątkowe wyróżnienie i dowód uznania dla prowadzonego przeze mnie pisma, na którego łamy starałem się wprowadzić możliwie najwięcej „literatury protestu i sprzeciwu”. Czytelnicy tygodnika o profilu społeczno-politycznym, bo takim był „Głos Polski”, mogli spotkać w nim teksty m. in. Stanisława Barańczaka, Ryszarda Krynickiego, Tomasza Jastruna, Lothara Herbsta,

Bronisława Maja, Ewy Lipskiej, Antoniego Pawlaka oraz polskich pisarzy „kanadyjskich”: Jadwigi Jurkszus-Tomaszewskiej, Adama Tomaszewskiego, Floriana Śmieji czy Wacława Iwaniuka.



Warszawa 1994 r. Spotkanie z okazji 50-lecia powstania warszawskiego. Trzy uczestniczki powstania: Nelli Turzańska-Szymborska (stoi), siostrzenica Krystyna Nizioł z domu Skwarnicka i siostra Krystyna Płatowska.

Gdy trzy lata później, po zbyt długim, niezależnym od pani Nelli,

okresie przygotowawczym Fundacja zainaugurowała swoją działalność, to właśnie Wacław Iwaniuk został jej pierwszym laureatem.

Pełna lista laureatów Fundacji obejmuje osiemdziesięciu wybitnych twórców żyjących w kraju i na obczyźnie, kilkunastu przedstawicieli uzdolnionej młodzieży oraz wiele zasłużonych dla kultury polskiej instytucji i stowarzyszeń, a łączna wartość przyznanych nagród i dotacji wyniosła ponad 200 tys. dolarów.

Choć z pewnością najważniejsza, Fundacja Turzańskich nie była jedynym wyrazem obywatelskiej i patriotycznej postawy pani Nelli. Mimo, iż przystosowanie się do życia w nowym kraju wiązało się z licznymi trudnościami i wyrzeczeniami, jej emigracyjną egzystencję cechowała wielostronna działalność społeczna i charytatywna. Była aktywnym członkiem Stowarzyszenia Kombatantów Polskich Koło nr 20. i przez wiele lat kierowała pracą działającej w budynku przy 206 Beverley St. w Toronto biblioteki i czytelni. Pracowała społecznie w zarządzie Koła Byłych Żołnierzy Armii Krajowej, działała w Związku Ziem Wschodnich, Towarzystwie Wspieranie Kultury Polskiej na Litwie, Towarzystwie Przyjaciół Jasnej Góry oraz Polskim Funduszu Wydawniczym w Kanadzie.

Nade wszystko jednak była wielkim przyjacielem i orędowniczką kultury polskiej na obczyźnie, jednym z jej największych i

najbardziej bezinteresownych mecenasów i ambasadorów.

***



Nelli Turzańska-Szymborska, 2008 r.

W dniu 24 marca 2012 roku w gronie rodziny, najbliższych przyjaciół i dyrektorów Fundacji planowaliśmy zorganizowanie kameralnego spotkania, by uczcić 95. rocznicę urodzin pani Nelli. Jakby w bezsilnym proteście przeciwko bezwzględnym regułom losu, przygotowaliśmy z tej okazji okolicznościowy, bibliofilski druczek, w którym wyrażaliśmy swój podziw, szacunek i miłość dla tej niezwykłej, wzbogacającej nas i polską kulturę postaci. W myśl znanej łacińskiej maksymy *Vita brevis, ars longa* żywiliśmy nadzieję, że skoro utrwalimy wspomnianą uroczystość w słowie, w wydawnictwie, które opiera się skutecznie presji czasu, umkniemy zręcznie bezlitosnej pani,

wywiedziemy ją, przynajmniej na czas jakiś, w pole. Jeszcze przecież niedawno w gościnnym domu Ewy Szozdy, ostatniej prezes Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich, przy Peach Tree Path w Toronto, podejmowaliśmy panią Nellę i jej męża, ciesząc się ich inspirującą obecnością. Byliśmy, jak dawniej, znowu razem, rozmawialiśmy o literaturze i sztuce, omawialiśmy kandydatów do kolejnych nagród, snuliśmy plany na najbliższą przyszłość.

Nawet wówczas, gdy pogarszający się stan zdrowia jubilatki przesunął termin przygotowanej uroczystości, wierzyliśmy, że najgorsze wkrótce minie, bo przecież dobrzy ludzie, mimo najbardziej zaawansowanego wieku, nie odchodzą tak szybko. A jednak stało się inaczej.

Gdy dziś zastanawiam się, co było najbardziej wyróżniającą cechą jej ponadprzeciętnej osobowości – jestem w kłopocie. Nie była to bowiem jedna dystynkcja, chociaż jest niewątpliwie słowo, które określa ją precyzyjnie: dama. Była kobietą wielkiego formatu. Mądrą, szlachetną, dystyngowaną, emanującą wrażliwością i dobrocią, głęboką patriotką, która – żyjąc na co dzień w świecie wielu kultur – z przyjazną i życzliwą uwagą potrafiła wsłuchiwać się w głosy innych. Choć w tym, co robiła nie zabiegała o uznanie, była bowiem osobą niezwykle skromną, nie można nie było jej nie podziwiać i darzyć najgłębszym szacunkiem. Po prostu: nie można było Jej nie kochać! Albo

inaczej: nie mogliśmy Jej nie kochać my, najbliżsi współpracownicy postrzegający Jej ujmującą naturalność i bezinteresowność na co dzień: w intensywnym, mądrym działaniu, w każdym słowie i geście. I chyba właśnie to: bezinteresowne wspieranie twórców, zwłaszcza żyjących poza krajem, których trudną sytuację znała wybornie, wielka pokora wobec wartości kultury, w połączeniu z wyjątkowymi cechami charakteru o jakie dziś coraz trudniej, sprawiały, że każdy z nią kontakt czynił nas duchowo bogatszymi. Sukcesy Fundacji były i pozostaną w ogromnej mierze Jej zasługą. A wysoki prestiż, jakim cieszyła się ta „prywatna czyli społeczna" instytucja w środowisku twórców związany był nierozerwalnie z postacią jej założycielki. Wraz z jej odejściem zamknął się bezpowrotnie ważny, niepowtarzalny etap w życiu polskiej diaspory w Kanadzie.



Nelli Turzańska-Szymborska w swoim mieszkaniu, 2010 r., fot. PUNKT.CA

---

[1]Szerzej piszę o Fundacji w publikowanym 3 października artykule *Prywatna czyli… społeczna. O Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich.*

Prywatna, czyli...społeczna.

O Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich.



Od prawej: Zbigniew Szymborski, Nelli Turzańska-Szymborska i Maria Nowotarska.

Edward Zyman *(Toronto)*

Dziś, gdy pisząc o Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich musimy używać czasu przeszłego, kronikarzowi kulturalnego życia polskiej społeczności w Toronto towarzyszy przeświadczenie, że była to instytucja, która istniała w nim od zawsze. Trudno sobie bowiem wręcz wyobrazić, by można było nie dostrzegać na obczyźnie potrzeby honorowania wysiłku pisarzy, naukowców, muzyków, przedstawicieli sztuk plastycznych, a więc tych, których twórczość zaświadcza o naszej kulturowej odrębności i niepowtarzalności, których dzieła, w

najtrudniejszym okresie politycznego zniewolenia kraju, były dowodem, że istnieje niezależna, wolna kultura polska i stanowiły źródło inspiracji oraz nadziei nie tylko dla polskiej diaspory, ale także społeczeństwa i twórców w kraju. Bez pisarstwa Miłosza i Czapskiego, Herlinga-Grudzińskiego i Wierzyńskiego, Lechonia i Balińskiego, Iwaniuka i Bobkowskiego, bez paryskiej „Kultury" i londyńskich „Wiadomości" trudniej byłoby pisarzom w Polsce zdobyć się na słowa protestu i sprzeciwu. Świadomość, że gdzieś w świecie istnieją nie podlegające totalitarnej cenzurze skupiska artystyczno-literackie i naukowe, że toczą się swobodne, nieskrępowane dyskusje i wychodzą książki wolne od brutalnych ingerencji opresyjnej władzy – dodawała otuchy, pozwalała przetrwać.

Działającą w latach 1988-2015 w Toronto Fundację stworzyli ludzie o skrystalizowanych postawach i wyborach ideowych. Kpt. Władysław Grzymała-Turzański jako piętnastoletni chłopiec uczestniczył w wojnie 1920 roku, walcząc w kompanii szturmowej 29 Pułku Strzelców Kaniowskich. Dziewiętnaście lat później, po wkroczeniu wojsk sowieckich na tereny Rzeczypospolitej, dostaje się do łagru, który opuszcza po dwóch latach gehenny, wstępując do tworzącej się w Rosji Armii Polskiej. Następnie, po opuszczeniu Rosji wraz z wojskiem gen. Andersa bierze udział w kampanii włoskiej. Odznaczony Krzyżem Walecznych za bitwę pod Monte Cassino, kończy wojnę w

stopniu porucznika artylerii. Do Kanady przybywa w dniu 11 listopada 1948 roku wraz z kilkusetosobową grupą żołnierzy. Jest współtwórcą Stowarzyszenia Kombatantów Polskich w Kanadzie i współzałożycielem kombatanckiej kasy zapomogowo-pożyczkowej. W środowisku cieszy się wyjątkowym autorytetem i szacunkiem.

Jego żona, Nelli Turzańska z domu Barańska, od wczesnych lat związana z harcerstwem, tuż przed wojną podjęła pracę w Wojskowym Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie. W listopadzie 1939 roku wstąpiła do Związku Walki Zbrojnej, przekształconego następnie w Armię Krajową. Podczas Powstania Warszawskiego walczy w zgrupowaniu „Róg" (batalion „Dzik"), w jednym z najtrudniejszych rejonów powstańczej Warszawy – na Starówce, skąd kanałami przedostaje się do Śródmieścia. Po upadku Powstania opuszcza Warszawę w szeregach AK i podejmuje udaną ucieczkę z transportu jenieckiego.

Po zakończeniu wojny, pracując zawodowo, rozpoczyna studia na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Łódzkiego. W dniu 20 lutego 1952 roku, będąc na ostatnim roku studiów, zostaje aresztowana za działalność w antykomunistycznej organizacji „Polski Front Ojczyźniany". Skazana przez sąd wojskowy na osiem lat pozbawienia wolności, przebywa w więzieniach na Montelupich w Krakowie, w Grudziądzu i Fordonie. 20 maja 1955 roku, na mocy amnestii uzyskuje warunkowe zwolnienie od

dalszego odbywania kary. Po kilku latach starań, w maju 1958 roku opuszcza Polskę udając się do przebywającego w Kanadzie męża. Tu włącza się w nurt działalności niepodległościowej, zostając m.in. członkiem Stowarzyszenia Kombatantów Polskich w Kanadzie i Koła byłych żołnierzy Armii Krajowej. Wiele uwagi i troski poświęca kulturze polskiej.



Old Mill, 2008 r. Uroczysty wieczór 20-lecia Fundacji. Pani Nelli Turzańska-Szymborska i Zbigniew Szymborski w otoczeniu członków Rady Dyrektorów. Stoją od lewej (w pierwszym rzędzie): Marek Kusiba i Henryk Wójcik. W drugim rzędzie: Ewa Szozda, Tamara Trojanowska, Edward Zyman, Grażyna Kopeć.

Stworzenie Fundacji stanowiło spełnienie jednego z głównych celów życia fundatorów, którzy nie mieli wątpliwości, że w istniejących wówczas warunkach politycznych, kultura jest jednym z decydujących czynników, który stwarza Polakom możliwość zachowania tożsamości narodowej. Dla obojga, wymuszony splotem historycznych uwarunkowań, pobyt poza krajem był stanem aktywnych zabiegów o wolną i niepodległą Rzeczpospolitą. Podzielając dążenia poważnej części emigracji żołnierskiej, mieli pełną świadomość negatywnych konsekwencji wydłużającego się pobytu na obczyźnie. Wiedzieli – co na początku lat pięćdziesiątych sygnalizował w swej publicystyce Juliusz Mieroszewski – że każdy kolejny miesiąc i rok emigracyjnej egzystencji to dokonujące się wbrew własnej woli oddalenie od kraju. Życia bowiem nie można zastąpić najszlachetniejszą nawet ideą. Jego realia dyktują konieczność tworzenia „organizmu o własnym krwiobiegu, o własnych sprawach, ambicjach i planach". Te słowa zaczerpnięte ze szkicu „Finał klasycznej Europy" mówiły o przekształcaniu się emigracji w Polonię, jako nieuchronnym procesie zmian, którym poddawane jest i będzie środowisko wojennego uchodźstwa. W tej sytuacji obrona – użyjmy celnego określenia prof. Janusza Kryszaka – zagrożonego kodu kulturowego, stanowiła podstawowy warunek zachowania autentycznej komunikacji z krajem. Jak się miało okazać, funkcja ta nie straciła swej ważności również w zmienionej konfiguracji politycznej. Nowa sytuacja polityczna po 1989 roku zniosła bowiem co prawda

sztuczny i szkodliwy podział na twórczość krajową i emigracyjną, nie zmieniła wszakże realnego faktu, jakim jest istnienie wielomilionowych skupisk polskich na obczyźnie. Ich żywe zainteresowanie losem Polski, duchowe uczestnictwo w przejawach jej kultury jest sprawą niezwykle istotną dla obu stron. Twórca żyjący z dala od ojczyzny w sposób naturalny poszukuje odbiorcy w kraju, dla twórcy mieszkającego w Polsce – promocja jego dzieł na obczyźnie i wyraz uznania dla jego pracy dobiegający z dalekiej emigracji ma wartość szczególnie inspirującą.

Z przyczyn niezależnych od fundatorów narodziny Fundacji trwały dość długo. Ostatecznie nowopowstała fundacja otrzymała Canada Letters Patent w dniu 22 czerwca 1988 roku, a wśród jej członków założycieli znaleźli się: Nelli Turzańska, ks. prałat Franciszek Pluta, Henryk Słaby, Tadeusz J. Masłowski, Maria Jabłońska i Edward Zyman. Niestety, nie doczekał tego pomysłodawca i główny fundator Fundacji, kpt. Władysław Grzymała-Turzański (1905-1986). Ideę jego życia zrealizowała z oddaniem i niezwykłą kompetencją pani Nelli. W międzyczasie zmarł ks. prałat Pluta, z Zarządu odeszli Tadeusz J. Masłowski, Maria Jabłońska i – utrzymując z nią przez wiele późniejszych lat ścisły kontakt jako ekspert finansowy – Henryk Słaby. Przez kilka lat funkcję dyrektorów pełnili Maria Wojtczak i dr Edward Sołtys. W okresie ostatnich lat obok członków założycieli Nelli Turzańskiej-Szymborskiej i Edwarda Zymana, w skład Zarządu

Fundacji wchodzili: Zbigniew Szymborski (wiceprezes), Henryk Wójcik, Marek Kusiba, Grażyna Kopeć i dr Tamara Trojanowska oraz, po złożeniu swej funkcji, w związku z pogarszającym się stanem zdrowia, przez Nelli Turzańską-Szymborską, Ewa Szozda.



1992 r. Janusz Krasiński (pierwszy od lewej) w gościnnym mieszkaniu Grażyny Kopeć. Obok laureta: p. Nelli Turzańska-Szymborska, Zbigniew Szymborski, Irena Harasimowicz-Zarzecka, Krzysztof Zarzecki, Henryk Wójcik, Grażyna Kopeć i Edward Zyman.

W ciągu dwudziestu siedmiu lat swego istnienia (1988-2015) Fundacja wyróżniła osiemdziesięciu przedstawicieli polskiej literatury, muzyki, teatru, nauki i sztuki. Są wśród nich twórcy

zamieszkujący stale w Polsce i poza jej granicami: w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Niemczech, Anglii i na terenie dawnych Kresów Rzeczypospolitej. Na liście jej laureatów znajdujemy nazwiska Stanisława Barańczaka, Włodzimierza Boleckiego, Kazimierza Brauna, Tomasza Burka, Andrzeja Buszy, Marka Chodakiewicza, Romana Chojnackiego, Adama Czerniawskiego, Bogdana Czaykowskiego, Normana Daviesa, Beaty Dorosz, Anny Frajlich, Józefa Garlińskiego, Michała Głowińskiego, Ireny Harasimowicz, Julii Hartwig, Wacława Iwaniuka, Jadwigi Jurkszus-Tomaszewskiegj, Ryszarda Kapuścińskiego, Tymoteusza Karpowicza, Mariana Kisiela, Janusza Krasińskiego, Janusza Kryszaka, Mirosława Kułakowskiego, Wojciecha Ligęzy, Ewy Lipskiej, Artura Daniela Liskowackiego, Adama Lizakowskiego, Jacka Łukasiewicza, Henryka Mażula, Romualda Mieczkowskiego, Michała Mikosia, Sławomira Mrożka, Włodzimierza Odojewskiego, Arkadiusza Pacholskiego, Mariana Pankowskiego, Magdalena Rabizo-Birek, Ada van Rijsewijka, Tadeusza Różewicza, Aleksandra Rybczyńskiego, Jarosława Marka Rymkiewicza, Marka Skwarnickiego, Ewy Stachniak, Władysława J. Stankiewicza, Janusza Szubera, Floriana Śmieji, Jerzego Święcha, Beaty Tarnowskiej, Tymona Terleckiego, Ewy Thompson, Ireny Tomaszewskiej, Adama Tomaszewskiego, Jana Twardowskiego, Aliny Witkowskiej, Adama Zagajewskiego, Grażyny Zambrzyckiej, Krzysztofa Zarzeckiego, Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm.

Wymieniliśmy dotychczas nazwiska pisarzy, tłumaczy i naukowców, ale wśród jej laureatów spotykamy także przedstawicieli wielu innych dziedzin kultury. Sztukę reprezentują Andrzej Dudziński, Kazimierz Głaz, Tamara Jaworska, Bronka Michałowska, Jerzy Kołacz i Andrzej Pityński, teatr – Maja Komorowska-Tyszkiewicz, Maria Nowotarska i Jerzy Kopczewski-Bułeczka, muzykę – Janina Fijałkowska, Maciej Jaśkiewicz, Adam Makowicz i Michael Newnham, dokument – Roman Aftanazy, Stanisław Kopf, Krzysztof Kunert, Jacek Sawicki i Irena Tomaszewska, fotografikę artystyczną – Andrzej Stawicki, dziennikarstwo – Julita Karkowska.

Nagradzając twórców mających trwałe miejsce w kulturze narodowej, Fundacja Turzańskich nie zapominała o młodych, wyłuskując spośród wstępujących pokoleń ich najzdolniejszych przedstawicieli. Od 1994 roku wraz z głównymi nagrodami przyznawane były wyróżnienia dla młodych talentów. Otrzymali je Piotr Bołdys, Joanna Chiro, Maciej Dorna, Kamila i Zofia Drotlef, Jan Miłosz, Adam Osiński, Natalia Paruzel, Krzysztof Sułowski, Alicja Wysocka i Berenika Zakrzewska.



2004 r. Prof. Marek Chodakiewicz wśród członków i przyjaciół Fundacji. Stoją od lewej: Grażyna Kopeć, Marek Kusiba, p. Nelli Turzańska-Szymborska, Zbigniew Szymborski, Laureat, Edward Zyman, Tamara Trojanowska i żona Marka Kusiby – Barbara.



2001 r. Od lewej: Marek Kusiba, Edward Zyman, Tymoteusz Karpowicz (laureat), Grażyna Kopeć, Irena Harasimowicz-Zarzecka, Henryk Wójcik, Aleksander Rybczyński.

Na szczególne podkreślenie zasługuje pomoc Fundacji udzielona zasłużonym dla kultury polskiej instytucjom m.in.: Katolickiemu Uniwersytetowi Lubelskiemu, Katedrze Historii Polski na Uniwersytecie Torontońskim, Towarzystwu Miłośników Języka Polskiego, wydawcy ukazującego się w Krakowie czasopisma „Język Polski”, Polskiemu Instytutowi Naukowemu i Bibliotece Polskiej im. Wandy Stachiewiczowej w Montrealu, Uniwersytetowi Polskiemu i Fundacji im. Prezydenta Edwarda Raczyńskiego w Wilnie, Kanadyjsko-Polskiemu Instytutowi Badawczemu w Toronto, „Archiwum Emigracji” w Toruniu, Ośrodkowi „Karta”, redakcjom czasopism „Akcent”, „Dialog” [Berlin], „Fraza”, „Kresy”, „Rocznik Lwowski” i „Pielgrzym”.

Celem głównym Fundacji była promocja kultury polskiej, a jej instrumentem podstawowym – nagrody i dotacje. Swą obecność w środowisku zaznaczała jednak także poprzez inne formy działania. Przez wiele lat w ramach Klubu Przyjaciół Fundacji urządzała cieszące się dużym powodzeniem wieczory dyskusyjno-literackie, z okazji uroczystego wręczania dorocznych nagród organizowała szereg spotkań z laureatami w torontońskim środowisku szkolnym, pod jej patronatem odbył się spektakl poetycko-muzyczny miejscowego Salonu Muzyki i Poezji „Nie bój się kochać", oparty na poezji jednego z laureatów – ks. Jana Twardowskiego, wspólnie z Polskim Funduszem Wydawniczym w Kanadzie była organizatorem Tygodnia Polskiej Literatury w Toronto, w którym uczestniczyli m.in. pisarze i naukowcy zaproszeni z kraju: profesorowie Jacek Łukasiewicz, Jerzy Święch, Janusz Kryszak oraz Sergiusz Sterna-Wachowiak, Włodzimierz Odojewski i Krzysztof Czyżewski.

Działająca w oparciu o prywatny zapis testamentowy, Fundacja nie byłaby w stanie podołać swym ambitnym zadaniom, gdyby nie życzliwa pomoc środowiska. Przekazanie przez nią ponad 200 tys. dolarów na promocję kultury polskiej stało się możliwe nie tylko dzięki bezinteresowności założycieli Fundacji, ale także dzięki wsparciu rozumiejących sens jej historycznej misji sponsorów. W tym sensie niewątpliwymi współautorami sukcesów Fundacji były instytucje: Stowarzyszenie Wspólnota Polska, Konsulat Generalny RP w Toronto, Polskie Linie Lotnicze

LOT, Pekao Trading Company (Canada) Ltd., Credit Union św. Stanisława i św. Kazimierza, Fundacja Mickiewicza, Kongres Polonii Kanadyjskiej, Ogniwo 11 Federacji Polek, Związek Nauczycielstwa Polskiego oraz osoby prywatne: Teresa Budziłło, Marek Bulicki, Barbara Choromańska, Radosław Chrabałowski, Agnieszka, Kasia i Maciej Czaplińscy, Joanna i Jarosław Dąbrowscy, Irena i Florian East, Anna i Bogdan Ejbich, Bernadette Flaisch, Jesse Flis, Elżbieta i Jarosław Gajewscy, Aniela Gańczak, dr Andrzej Garlicki, Barbara Głogowska, Jerzy Guzewicz, Irena Habrowska-Jellaczyc, Elżbieta i Bartłomiej Habrowscy, Lech Hałko, Wacław Iwaniuk, Renata i Jerzy Jatczak, Dorota i Aleksander Jamroz, mec. Bogdan A. Kamiński, Tadeusz Kay, Julia Kicińska, Elzmira Kieraszewicz, dr Jerzy i Samanta Korab-Kucharscy, Adam Kreutzer, Chris Korwin-Kuczyński, Wiktoria i Zbigniew Kwadrans, Ania i Janis Lindenbergs, Bogdan Łabędzki, Hanna Łempicka, Anna Lubicz-Łuba Bartholomew, Anna Łapińska, Jerzy Maksimowski, mec. Marek Malicki, Małgorzata Maye, Peter Mielżyński, Małgorzata i Wojciech Mikołajczak, Stanisław Mocarski, Lech Mokrzycki, Andrzej Mrożewski, Violet Oleszko, Cezary Olszewski, Anna Paudyn, Eleonora Pidperyhora, Mary i Jacek Przygodzcy, mec. Janusz Puźniak, Elżbieta i Ryszard Rogaccy, mec. Ryszard Rusek, Stan Russocki, dr Ryszarda Russ, Bolesław Rybka, Henryk Słaby, Danuta i Zbigniew Słomiany, Małgorzata i Konrad Stanisławscy, Wanda Stojanowska, dr Joanna Stuchly, Maria i Andrzej Sułowscy, Jadwiga Sztrumf, Jadwiga i Krzysztos Szydłowscy,

Maria i Szymon Świętorzeccy, W. S. Tylkowscy, Stanisław Wcisło, Urszula Wydymus, Czesław Zacharski, Teresa i Mariusz Zimny, dr Jan Zuchelkowski, Zygmunt Zychla, Anna Żurakowska.



Laureaci Fundacji: Magdalena Rabizo-Birek (2004) i Bogdan Czaykowski (1991) w bibliotece swego imienia mieszczącej się w domu Anny Lubicz-Łuby w Lions Bay.

We wstępie do broszury wydanej z okazji dziesięciolecia Fundacji pisała Nelli Turzańska-Szymborska:

> Wchodzimy w kolejne dziesięciolecie z nadzieją, że wypracujemy jako polska diaspora nowe, skuteczniejsze niż

> dotąd, odpowiadające naszym potrzebom, ambicjom i możliwościom instrumenty promocji polskiej kultury. Że wykorzystamy historyczną szansę polegającą na tym, że żyjemy w czasach naturalnego, nie skrępowanego niczym obiegu wartości między Krajem i Emigracją. W czasach wreszcie intensywnych kontaktów z najwybitniejszymi przejawami polskiej kultury i jej czołowymi przedstawicielami, co dla pokoleń wcześniejszych było najskrytszym pragnieniem i marzeniem[1].

Myślę, że dziś, po zakończeniu działalności Fundacji, jej współzałożycielka miałaby prawo stwierdzić bez fałszywej skromności, że w ramach tak nakreślonego programu, z gronem swych przyjaciół i współpracowników, uczyniła bardzo wiele, lub trafniej byłoby stwierdzić: wszystko, co w dysponujących przez Fundację warunkach było możliwe.

Najtrafniej ujął to w 2003 roku laureat Fundacji, wybitny angielski historyk i przyjaciel Polski, Norman Davies, który w jednym z wywiadów stwierdził:

> Jest to dla mnie bardzo ważne wyróżnienie. Bardzo szanuję tę Fundację. Zanim poznałem panią Nellę osobiście, przeczytałem jej życiorys, który zresztą umieściłem w swojej książce o Powstaniu [Warszawskim]. Uważam, że pani

> Turzańska-Szymborska jest nadzwyczajnym człowiekiem. Osoba, która miała tak trudne doświadczenia, która tyle przeżyła i która teraz, będąc w starszym wieku, nie tylko wypoczywa, ale stara się coś dobrego zrobić dla społeczeństwa, dla kultury, wzbudza szacunek. Jest to szczyt życia wartościowego. Myslę, że Polonia kanadyjska winna się czuć szczęśliwa, że ma taką osobę i taką Fundację. Nieczęsto i nie wszędzie się to zdarza[2].

Fundacja Władysława i Nelli Turzańskich była instytucją prywatną. Wymaga to kilku słów wyjaśnienia. Była to bowiem prywatność szczególna. Znaczyła tylko (i aż) tyle, że dwoje ludzi przeznaczyło swój życiowy kapitał w sposób bezinteresowny sprawie publicznej. Owa prywatność miała więc charakter ze wszech miar społeczny. Życzyć by należało polskiej kulturze, by Fundacja Władysława i Nelli Turzańskich znalazła swe następczynie, by podobnych jej prywatnych fundacji pojawiło się w Kanadzie – w ogóle na obczyźnie – jak najwięcej.

Po raz ostatni Fundacja przyznała nagrody w dniu 11 grudnia 2015 roku. Kierująca wówczas jej działalnością Ewa Szozda, przekazując do publicznej wiadomości komunikat o przyznanych wyróżnieniach, pisała:

> Rada Dyrektorów pragnie z przykrością poinformować, że z

dniem jego ogłoszenia zamyka swą dwudziestosiedmioletnią działalność w służbie kultury polskiej. Bogaty dorobek Fundacji wiąże się nieodłącznie z jej twórczynią, Nelli Turzańską-Szymborską i jej dobrym, inspirującym duchem. Jest w ogromnej mierze zasługą Jej i grona jej bliskich współpracowników, którym tą drogą przekazuję najserdeczniejsze podziękowania za ich wieloletnią, bezinteresowną współpracę. Jednocześnie serdeczne słowa podziękowań kieruję do kanadyjskiej Polonii, bez której życzliwości i wsparcia nasze działania byłyby niemożliwe. Niech przyjmą te podziękowania wszyscy nasi darczyńcy, ludzie wielkiego serca i dobrej woli, redaktorzy miejscowej prasy, zamieszczający nasze komunikaty i informujący swych czytelników o podejmowanych przez nas przedsięwzięciach. Wiele serdeczności kieruję także do redakcji nowojorskiego „Przeglądu Polskiego" i krajowych kwartalników literackich, przede wszystkim rzeszowskiej „Frazy" i lubelskiego „Akcentu", pism, które od początku wykazywały życzliwe zainteresowanie pracami Fundacji. Zamykając swą działalność Fundacja, zgodnie z wcześniej wyrażoną wolą jej założycielki, przekazała swoje zasoby na utworzenie funduszu stypendialnego dla doktorantów polonistyki na Uniwersytecie Torontońskim. Fundusz ten powstał jako "Wladyslaw and Nelli Turzanski Foundation Scholarship in Polish Studies at the University of Toronto". Tym samym dzieło Nelli Turzańskiej-Szymborskiej, której celem było

> wspieranie i promowanie polskiej kultury na obczyźnie, choć w innej postaci, będzie kontynuowane.

---

[1] „Fundacja Władysława i Nelli Turzańskich 1988-1998”, Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy, Toronto 1998, s.7.

[2] Anna Lubicz-Łuba, Edward Zyman: *Historyk jest kustoszem pamięci. Rozmowa z Normanem Daviesem*, „Dziennik” [Toronto] z 7-9 listopada 2003.

Niecodziennik podróżniczy



Góry Alborz/Elburs w promieniach wschodzącego słońca, fot. zewpodrozy.pl

Jolanta Łada-Zielke *(Hamburg)*

Iran, Azerbejdżan, Mongolia, Rosja, Wyspy Zielonego Przylądka, Norwegia, Spitsbergen… wielka rozbieżność kierunków, które łączy osoba jednego podróżnika. Pochodzący z Łańcuta Michał Lars Bardian, który w tym roku obronił licencjat z filologii norweskiej, odpowiada stale na „zew podróży”, wzywający go do odbywania coraz to nowych wypraw, które relacjonuje na swojej stronie internetowej i na profilach społecznościowych.

Już samo wejście na stronę internetową Michała ma posmak

przygody. Autor ostrzega gości, że przy czytaniu niektórych sprawozdań mogą zarazić się bakterią o nazwie „Szwędacz-Bacillus”. Sam złapał ją już w dzieciństwie od swojego ojca, który do dziś jest aktywny turystycznie. Cała rodzina spędzała prawie każdy weekend w górach, a na wakacjach wyjeżdżała do krajów europejskich, czy Azji Mniejszej. Podróżowali samochodem, nocowali pod namiotem, bez zbędnych wygód, za to aktywnie i w bliskim kontakcie z naturą. Czasami przyrządzali posiłek z tego, co zebrali w lesie, lub złowili.

> Na niektóre wyjazdy zabieraliśmy wędki i łowiliśmy ryby, które spożywaliśmy na kolację, albo na obiad – opowiada Michał – W Norwegii są na przykład bardzo dobre łowiska. Zdarzały się przy tym zabawne sytuacje. Raz holowaliśmy jedną ogromną rybę przez całą noc, aż w końcu urwała się z haczyka. Udało nam się zobaczyć jej kontury, jak zbliżała się do powierzchni wody, przypominała kształtem halibuta.



Arktyka, fot. zewpodrozy.pl

Fascynacja Północą

Michał jest zakochany w Norwegii od czasu, kiedy z rodzicami odwiedził ten kraj po raz pierwszy. Trzy lata później zaczął samodzielnie uczyć się języka norweskiego, a kończąc liceum zdecydował się na studia filologiczne. Tak wspomina swój pierwszy, samodzielny wyjazd do Norwegii, dokąd udał się po maturze, w towarzystwie znajomych:

> Pojechaliśmy do jednej z miejscowości na zachodzie, do Odda. Chodziliśmy tam wprawdzie normalnymi szlakami turystycznymi, ale spaliśmy oczywiście w namiotach, bądź w hamakach. Był to dość wymagający pobyt, bo przypadł w

> wyjątkowo deszczowym maju. A według statystyk zachodnia Norwegia najbardziej zadeszczone miejsce w Europie. Używaliśmy folii malarskiej do ochrony, ale mimo to wilgoć nam mocno doskwierała. Największy problem był z suszeniem ubrań, ponieważ padało non stop. Suszyliśmy je na dworcach autobusowych.

Michałowi prawie zawsze towarzyszy w podróżach ktoś z przyjaciół. W 2016 roku wybrał się na Svalbard wraz z muzykiem-saksofonistą Kamilem Malinowskim. Relacja z ich wyprawy została zamieszczona na portalu „Moja Norwegia". Svalbard to królestwo białych niedźwiedzi i dziewiczej, arktycznej przyrody. Polscy podróżnicy odkryli przy tej okazji miejscowy zwyczaj:

> Zajrzeliśmy do tamtejszego kościoła, w którym znajdowały się półeczki i pojemniki na składowanie broni, którą nosi się na wszelki wypadek, gdyby zaszła konieczność obrony przed niedźwiedziem. Takie same półeczki są w lokalnym markecie. Składuje się tam broń po to, żeby nie wchodzić z nią do pomieszczenia, gdzie inni ludzie mogliby poczuć się niekomfortowo w obecności osoby uzbrojonej.



Główna droga do Ułan Bator, fot. zewpodrozy.pl

Śladami Czyngis-Chana

Równie ciekawe są opisy przeżyć Michała w krajach dalekowschodnich, gdzie panują odmienne warunki pogodowe.

> Klimat kontynentalny jest surowy. Lata są gorące, zimy bardzo mroźne, ale za to przez większą część roku świeci słońce. A jeśli świeci w zimie, to ludzie mają lepszy nastrój – zapewnia podróżnik.

Podczas pobytu w Mongolii, Michał obserwował życie codzienne mieszkańców, był nawet świadkiem odprawiania rytuałów szamańskich. Doświadczył gościnności ludzi Wschodu, którzy zapraszali go na posiłek, lub podwozili do określonego miejsca, choć uważa, że nie tylko w tej części świata można spotkać się z ciepłym przyjęciem.

> Ludzi gościnnych i dobrych można spotkać wszędzie. Na przykład w Norwegii nie korzystaliśmy ze „stopa", ale jak raz szliśmy wzdłuż drogi, zatrzymała się para jadąca samochodem i zaproponowała nam podwiezienie. Doświadczyliśmy więc życzliwości także na Zachodzie.

Michał rozpoczął też studia azjatyckie ze specjalnością język chiński i właśnie ma okazję posługiwać się tym językiem na co dzień.

> Zacząłem uczyć pięcio- i sześcioletnie dzieci języka angielskiego w prywatnej szkole w Urumczi, w prowincji Sinciang. Nie znałem wcześniej tej części Chin. Ta prowincja ma bardzo ciekawe położenie geograficzne, mieszkam u samego podnóża gór Tien-Szan. Postaram się w wolnym czasie zwiedzać ten region, nagrywać vlogi na moim kanale Youtube, publikować sprawozdania na Facebooku i na mojej

> stronie internetowej: www.zewpodrozy.pl